



# GŁOS NARODU

## TRZECI MAJA.

„Niech pokolenia pokoleniom podają  
pamiętkę dnia tego“.

Miesiąc maj ma szczególne dla nas Polaków znaczenie. Jest on poświęcony czci Matki Boskiej, Królowej Polski. W r. 1656 Jan Kazimierz, gdy kraj cały był przez Szwedów i innych wrogów najechany i spustoszony, oddał królestwo swoje pod opiekę Matki Boskiej i ślubował uroczystie powściągnąć „ucisk ludu, który sprowadził pomstę Bożą na Ojczyznę“. Corocznie na pamiątkę tych ślubów bywa odprawiane uroczyste nabożeństwo we Lwowie w pierwszą niedzielę majową.

Niestety o tem przyrzeczeniu ulżenia ludowi zapomnieli panowie i szlachta, którzy współ z królem oddawali Matce Boskiej w opiekę Polskę i ślubowali, że ucisk braci młodszych zniosą. Byli wprowadzić w Polsce ludzie, zarówno świeccy jak duchowni, którzy nawoływali do zniesienia poddaństwa, do poprawy położenia mieszczan i włościan, do nadania im równych praw ze szlachtą, ale wezwania te nie trafiały do serc i umysłów szlacheckich. Przypomniano sobie o ślubach lwowskich dopiero wtedy, gdy zagroziło Polsce poważniejsze niż najazd szwedzki niebezpieczeństwo. Po pierwszym rozbiórce Polski przez trzy sąsiednie państwa — Rosję, Austrię i Prusy, ludzie mądrzejsi i szczerze Ojczyznę miłujący zrozumieli, że do obrony zagrożonej wolności kraju trzeba powołać jak najwięcej obywateli, bo szlachta, chociaż liczna wówczas, zadaniu swemu nie podoła. A tym nowym obywatelom, ażeby skutecznie Ojczyznę i wolności bronić mogli, trzeba dać równe z innymi prawa, trzeba ich oświecić i podnieść ich dobrobyt.

I oto pomimo przeszkód ze strony państw sąsiednich, zaczyna się w Polsce praca nad

potężeniem siły narodowej, nad poprawą położenia mieszczan i ludu wiejskiego. Wielu zamożniejszych panów zmniejsza w dobrach swoich daniny i powinności włościańskie, inni znoszą poddaństwo i oddają włościanom grunta za czynsz umiarkowany. Znakomici pisarze Kołłątaj, Staszyc, ks. Antoni Popławski, Wybicki i inni piszą o położeniu ludu, domagają się poprawy jego bytu. Założenie sporej liczby szkół nowych i poprawa starych przyczyniają się do wzrostu oświaty. Młode pokolenie szlacheckie, w tych szkołach wychowane, już inaczej patrzy na świat niż jego ojcowie, rozumie konieczność nadania mieszczanom i włościanom praw obywatelskich, spóźnieje niedoli ludu.

Zwołany w r. 1778 Sejm, znany później pod nazwą „Sejmu czteroletniego“, zajął się gorliwie sprawą stworzenia silnego rządu i wojska i naprawą stosunków. Po długiej i zaciętej walce z ciemnotą starszlachecką, która chciała, żeby wszystko zostało w Polsce po dawnemu, ogłoszona została 3-go maja r. 1791 nowa Konstytucja czyli ustawa. Według tej Konstytucji 3-go maja mieszczanie zostali w najważniejszych prawach zrównani ze szlachtą, włościanie mniej wprowadzić uzyskali, ale oddani zostali pod opiekę prawa, a więc uwolnieni od samowoli dziedziców, w bliskiej zaś przyszłości miało być położenie ich znacznie polepszonem. Pamiętać trzeba, że ta Konstytucja 3-go maja była pierwszą próbą, była początkiem tych zmian, które kolejno następować miały. Dziś wydawać się nam może wadliwą, ale wówczas miała dla narodu całego i dla ludu wielkie znaczenie. To też w całej Polsce włościanie radośnie



powitali wydanie tej Konstytucji i w rok później obchodzili jej rocznicę jako uroczyste święto.

Niestety, Konstytucja 3-go maja nie wydała oczekiwanych skutków. Pomiedzy niezadowolonymi z niej wielkimi panami i dygnitarzami znaleźli się zdrajcy, z którymi połączyła się część ciemnej lub zaprzędanej im szlachty. Ci zdrajcy zjechali się w miasteczku Targowicy na Podolu, urządzili zmowę przeciw Ojczyźnie i wezwali na pomoc wojska moskiewskie. Moskale porozumieli się z Prusakami, którzy złamali zawarte poprzednio z Polską przymierze i pomimo dzielnego oporu nielicznych wojsk polskich opanowali kraj, a następnie zabrali ogromne obszary ziemi. Po tym drugim rozbiorze przywrócili przy pomocy zdrajców Targowiczian stare, szkodliwe narodowi urządzenia i prawa i zniesli Konstytucję 3-go maja.

Ale naród polski już się ocknął, lud polski już się rozbudził. W r. 1794 zrywają się Polacy do broni przeciw najeźdźcom, Kościuszko ogłasza powstanie narodowe w Krakowie. Pod jego dowództwem kosynierzy krakowscy zdobywają armaty moskiewskie pod Racławicami; mieszczanie warszawscy z szewcem Kilińskim na czele wyprawiają Moskalom „weselisko krwawe“.

W wolnej Warszawie obchodzi lud uroczyście rocznicę Konstytucji 3-go maja. Nie nadzieja zwycięstwa nad przemożną siłą wrogów, ale rozpacz nad stratą wolności lud ten poruszyła. To też

przypomnienie zdrady, która odrodzenie Ojczyzny zniweczyła, oburzyło lud i popchnęło do krwawej zemsty. Uwięzionym poprzednio zdrajcom wymierzono doraźną sprawiedliwość, wieszając na szubienicach hetmanów Ożarowskiego i Zabiełłę, kasztelaną Ankwicza i biskupa Kossakowskiego. Wszyscy ci dygnitarze, powieszani 9 maja 1794 r. brali pieniądze od rządu moskiewskiego i służąc mu, Ojczyznę zdradzali.

Konstytucję 3-go maja zachował naród polski we wdzięcznej pamięci i dzień jej ogłoszenia obchodzono dawniej w kraju jako uroczyste święto narodowe. Nie tylko my Polacy, ale nawet znakomici mężowie obcych narodów: Anglicy, Francuzi, Niemcy i t. d. odzywają się z wielkiem uznaniem o Konstytucji 3-go maja, nazywając ją „wiekopomnem dziełem“, „chlubą narodu polskiego“. Istotnie, ta Konstytucja, nadająca prawa obywatelskie ludowi miejskiemu i wiejskiemu, jest prawdziwą chlubą naszą. Gdzieindziej lud siłą zdobywał sobie prawa, zmuszał rząd i klasy wyższe do ustępstw. U nas twórcy Konstytucji 3-go maja, którzy wszyscy ze szlachty pochodzili, sami dobrowolnie zrzekli się części swych przywilejów i wolności, sami dobrowolnie prawa ludowi miejskiemu i wiejskiemu nadali, powodowani jedynie miłością ojczyzny, bo w podniesieniu ludu widzieli tej Ojczyzny ocalenie.

P. K.

## Święto Trzeciego Maja.

Z pieśnią słowika na nowo zaczęta,  
Z wiosną, co ziemię na nowo przystraja,  
Witamy cię, polskich serc święto!  
Witamy cię, trzeci dniu Maja!

Biedni, dzikiego ojczyma przemocą  
Wynani z matki ochłostanej domu,  
Do ciebie idziem pokryjomu  
Dniu święty, ze skargą sierocą.

Zdarły się kiry lat żałoby wiele,  
Tylko kwiat wspomnień zakrywa łez plamy:  
Więc w kwiatach wspomnienia witamy,  
Witamy cię Polska niedzielo!

Już to w jak najróżniejszej szat przemianie  
Żal naszej nędzy przyroda rozbiłnia;  
A ptaków radosne śpiewanie  
Milczącej boleści podrzyźnia. —

Już to setnym dwunastym obchodem  
Krażymy przy dniach, które skamieniały

Posągiem nieszczęścia i chwały  
Nad wielkim zabitym narodem.  
Więc dalej do uczty koła!  
Należcie kielichy wasze. —  
Niechaj myśl dziko wesoła,  
Ożywiona tym napojem,  
Świetne wspomnienia wywoła,  
Popłasa ze wspomnień rojem,  
Zagrajmy, o bracia, w czasie!

Serce, jak kielich zbytku nie zmieści;  
Ze szkła pełnego spłyną napoje,  
Serce wezbrane płaczem boleści  
Rozleje łzy — pocieszenia.  
Już sytość hańby nad brzeg wystaje.  
Zbyt wielka miara cierpienia,  
Łza tylko radości zostaje,  
Łza naszego orzeźwienia.

Poćwiertowane Matki naszej ciało  
W któreż się strony nie porozpadało?  
Lecz silne siłą żywota padalcza,



Pocięte członki drgają jednym życiem,  
 Matczynej piersi uderzają biciem,  
 I walczą z chłodem śmierci — i wciąż walczą;  
 Niech żyją bracia! niech żyją!  
 Którzy jednym sercem biją!

W dziecinnych latach za baśnię się brało  
 Powiastkę nianiek o cudownej wodzie,  
 Co sprzęga, żywi rozszarpane ciało.  
 Kto wielkich przodków ma wzory w narodzie  
 I kto ich czyny w sercu swoim chowa,  
 Ten zdoła pojąć, co znaczy baśń owa,  
 Gdzie strój tej błogiej otuchy;  
 Cześć Wam, przodków wielkie duchy!

Teraz bracia wasze zdrowie!  
 Szczęśliwi takich synów ojcowie,

Co szczupłym swoim łękiem niezrażeni  
 Świętego ognia udzielając sobie,  
 Tulą w pamiątkach przeszłe świetne czyny,  
 I je na światło wynoszą z cieni.  
 Szczęśliwsze jeszcze takich ojców syny.  
 Niechże Maj trzeci, miły nam w żałobie,  
 Lampę smutku zagasiwszy,  
 Słońce nadziei co rychłej rozplómi;  
 Niech żyje Maj trzeci szczęśliwszy!

*S. Goszczyński.*

## ECHA Z PARYŻA.

Na cóż wy właściwie macie królową? — pytano kiedyś anglika, zamieszkałego w Paryżu; przecież ten wasz „self government“, to żywa kopia republiki. Na to, odpowiedział anglik z uśmiechem, żeby nasze panie mogły chodzić na recepcje do dworu i żeby się tam uczyły podrygiwać, siadać, wstawać, kiwać, chodzić z pewnym majestatem i z pewną elegancją ziewać. Zyskujemy na tem pod względem towarzyskim niemało, a wiele więcej jeszcze od nas zyskują krawcy, bo na drawing room do królowej potrzeba toalet po 500 funtów, ażeby nie powiedziano, że panie przychodzą w negliżach. Królestwa i dworu koniecznie nam potrzeba, boby ludzie nawet spać nie mogli, gdyby nie wyczytali w dzienniku, co porabia Her Majesty. Kiedy sobie królowa wywineła raz nogę, animacja była wielka i ukontentowanie ogólne! dzienniki smarowały kilometrowe artykuły o nodze, pobożni ludzie, których jest u nas 78 rozmaitych chrześcijańskich gatunków, modlili się nie tylko za nogę, ale i za jej czterech doktorów i nawet za aptekarza, a kiedy się noga wreszcie wyleczyła, grzmiąły po kościołach wesołe koncerty i pastorzy śpiewali od rana do nocy Te Deum.

Anglja bez monarchji, mój panie, to jak prababka bez tabakierki, i jeżeli się kiedyś po ogólnej wymieci na świecie zostanie tylko jedna monarchja, to to będzie na pewno nasza angielska. Monarcha u nas jest bardzo szczęśliwym człkiem, wiele szczęśliwszym nawet od inspektora kolumny Vendôme w Paryżu; roboty nie ma żadnej, odpowiedzialności żadnej, niespokojów ani za grosz, wie dzie życie wesołe po fetach, polowaniach, wyścigach i wojażach i w nagrodę za te trudy zbiera jeszcze co chwila wiaty trzystu milionów naiwnych poddanych. „Mein Liebchen, was willst du noch mehr?“ — Dwa tylko są haczyki i to rzeczywiście niemiłe; bardzo trudno ludziom okazać, że się naprawdę nosi koronę, a jeszcze trudniej tej korony doczekać, zachowując jako tako

królewską minę. Odsądzony bowiem od wszystkiego, nie wie nasz biedny następca tronu, co ze swemi talentami począć; szuka dystrakcji dokoła siebie i nic nie znajduje. Pożycie ze starą arystokracją go nie bawi; oryginały jak ś. p. książę wymarły, a safandulów żyje za dużo.

Jego świątobliwość książę Norfolk, człek bardzo dynstygowany, co ma idealną brodę i przodków aż w domu Plantagenet, spędza życie po zakrystjach; Argyll znowu i Fife i markiz de Lorne, to za blizcy kuzyni; a Devonshire znakomity wprawdzie bulwarczyk, ale zafafulony w politykę; a Suffolki się tylko pokazują w zbroi przy koronacjach, żeby wyzywać do walki przeciwników korony; a Malborough, potomek wojaka z pod Malplaquet i możny kasztelan z osławionego zamku Blenheim, to człek haniebnie zamerykanizowany, bo żonaty z panną Vanderbilt, a Westminster to tylko kieszonkowy książę, bo kawał Londynu do niego należy; a Bedford a Richmond, a Newcastle, a Abercorn, a Somerset, to wszystko niewesołe typy; a inni jeszcze szanowni pairs z izby panów, to nawet nie sięgają ani Tudorów, ani Stuartów, jeno sobie po prostu smarują w herbie beczkę Pale Ale, butelkę whisky lub inny praktyczny i zrozumiały symbol. Hulaj tu teraz z takim światem, jeśli chcesz młodość spędzić po ludzku a jednak się doczekać berła, co będzie miało minę berła a nie zwykłej mosiężnej pałki! — Nasz Edward przechodził przez te poty i ratował się jak mógł; uczęszczał oto przez dłuższy czas do dzikiego klubu (Savage Club), gdzie się mógł przynajmniej w gronie literatów i artystów trochę rozpinać i rozbijać; ale, że za długo musiał czekać na koronę, więc dzikusy też nie wystarczyły i trzeba było zabijać nudy przy zielonych stolikach lub po budoarach wesołych kobietek w Paryżu. Kto nigdy nie był następcą tronu, kto nie miał nigdy czasu i pieniędzy zawiele, a zatrudnienia za mało, niech na niego rzuci kamie-



niem! Paryż nie rzuca kamieniem na Edwarda; znał po wsze czasy księcia Walii jako „bon garçon“, więc też przyjmował króla Edwarda, jako takiego; robi nawet z tej wizyty małą fetę, choć wie dobrze, że te wszystkie ceremonie i salameleki wiatrem podszyte, i że się w gruncie rzeczy nic nie zmieniło, jeśli nie to chyba, że się dawny książę Walii jeszcze bardziej zaczerwienił, roztył i zestarzał.

Nic się nie zmieniło, ale się jednak coś przy tej wizycie zdarzyło. Zdarzyło się to, że od czasów, jak Francja i Anglja w Europie istnieją i z sobą sąsiadają, po raz pierwszy oto król angielski z oficjalną wizytą do Paryża przyjeżdża. Rzecz to dziwna, a jednak prawie co do joty prawdziwa, że się bliscy sąsiedzi nie odwiedzali.

Dziady Edwarda, Jerzy IV i Wilhelm IV, obiecywały po kilka razy, że przyjadą, ale i jeden i drugi zanadto byli zajęci. Jerzy był zajęty skandalicznym procesem ze swą żoną Karoliną, a Wilhelma nie chciała puścić aktorka Jordans, bo się francuzek bała jak ognia. A pradiady znowu żyły z Francją politycznie w złej komitywie. Jerzy III srodze się na nią gniewał przez całe sześćdziesiąt lat swego panowania od siedmioletniej wojny aż prawie do upadku Napoleona; a Jerzy II nie mógł przeboleć klęski pod Fontenoy; a Jerzy I lepiej był wprowadzić usposobiony, ale miał znowu u siebie w domu bardzo fatalną przeszkodę, bo mu jego metresa, Zofja Zell, bez wszego respektu dla cziogódnej korony, przyprawiała co chwila rogi.

A kiedy się Stuartów sięga, to o wizytę tro-



Modrzewiowy zwierzyńiec Salezego Potockiego w Waniowie.

W ciągu swego długiego panowania była królowa Wiktorja oficjalnie tylko dwa razy we Francji, a w Paryżu samym tylko raz; odwiedziła w roku 1843 Ludwika Filipa w zamku Eu (nad kanałem), bo chciała tą wizytą zaprotestować przeciw uprzedzeniu europejskich autokratów do rewolucyjnego (jak go nazywali) króla, a w roku 1855 skorzystała z okazji wystawy, żeby oddać wizytę Napoleonowi III. Przywiozła też tu wtenczas toalety trochę angielskie i sporo angielskiego pietyzmu, który z etykiety nie zawsze kwadrował; stawiała się między innemi do inwalidów we wszystkich kolorach tęczy i kazała swemu synowi (dzisiejszemu Edwardowi) klękać i modlić się przy grobowcu Napoleona, a czułościami sypała przy tej okazji tak, że się aż marszałek Canrobert popłakał; wszyscy byli kontenci z wyjątkiem marszałka, który zapomniał chustki od nosa.

chę łatwiej, bo to były czasy, gdzie się zdarzało angieltkom zostawać królowemi francuskimi a francuzkom angielskimi; (matka pierwszego Stuarta, znana w dziejach Marja, wyszła jak wiadomo, za Franciszka II Valois i nosiła przez rok francuzką koronę, a nieszczęśliwy jej wnuk Karol I, posadził na tronie angielskim francuzkę, bo pojął za żonę Henryetę, córkę Henryka IV i Marji Medicis); ale zachodzi tu znowu ten nieszczęsny przypadek, że Stuarty przyjeżdżały bez koron, na bardzo długie i przymusowe wizyty. Wizyta Henryetty to prawie temat do tragedji. Uciekała biedaczka z Londynu w ostatnich dniach ciąży, odbyła półóg w oblężonem Exeter, przechodziła tu potem bardzo ciężkie chwile, bo Mazarin ją potrochu traktował jako biedną krewną, a co dostawała od bratowej, Anny austriackiej, wysyłała mężowi do ostatniej chwili, to jest do chwili, kiedy go Crom-



vell kazał ściąć; żyła nieustannie w biedzie i długach i nacierpiała się tyle, że kiedy starszy jej syn przyszedł wreszcie do tronu, nie miała już sił do niego wracać, i umarła tu w skromnem domostwie w Colombes pod Paryżem. A młodszy (Jakób II) też pod Paryżem skończył swe panowanie, jeno w lepszych warunkach, niż matka, bo mu Ludwik XIV stawił do dyspozycji zamek Saint Germain i kazał go tam otaczać królewską pompą. Dość że się oto Edward dorobił sławy nad sławami pierwszego monarchy Albionu, co oficjalnie Paryż odwiedza. Ze starego wyjadacza po bulwarach został nagle dziewiczym i wyjątkowym gościem, godnym wyjątkowej i hałaśliwej recepcji, fet, fanfar, przedstawień, wyścigów i rewji, a nadewszystko frazesów o o-

Zbliża się rocznica katastrofy na Martynice, więc nie od rzeczy może przy tej okazji napomknąć, że bogini wulkanu dotąd nie ochłonęła z gniewu; nie miewa już dawnych paroksyzmów, ale do spokoju jeszcze przyjść nie może. Bawi się tam teraz od dość dawnego czasu w architekturę. Buduje sobie w kraterze oryginalną wieżę, wieżę sterczącą, niby fantastyczny obelisk czy komin fabryczny przeszło 300 metrów ponad krater; rośnie ten śpiczak i tyje iłpęka i sapie i syczy i przyodziwia się w coraz to wyższe kapelusze; od czasu do czasu wzmaga się nawet bez pomocy kapelusza, bo go z głębi wulkanu jakaś piekielna siła podnosi. Z jego szczelin snują się ogniowe obłoki, ciągną po ziemi aż na milę drogi



Wożenie soli na trzecim poziomie kopalni wielickiej.

wych nieśmiertelnych węzłach przyjaźni, co to łączy, jak wiadomo, kochanych sąsiadów na długo, na zawsze, na wieczność całą albo do jutra rana. Kupcy przy bulwarach przesadzili nawet w tych hołdach; zapomnieli, że król angielski jest antipapistą, którego trzeba było na marną wizytę do Watykanu za obie poły ciągnąć i powiesili mu przy rue de la Paix koronę strasznie podobną do tjabry; procesje anglików rozdziwiają pod nią gęby i kiwają głowami. Ażeby się pamięć tej bajecznej i historycznej wizyty nigdy nie zatarała, Edwarda powieziono do ratusza i podpisze się tam na pergaminie prawdziwym atramentem, solennie i zamaszysto; przytomni nastroją przytem pogrzebowe miny a kapela zadmie tryumfalnie „God save the king“.

„Le monde est vieux, dit-on; je crois cependant Qu'il faut l'amuser encore comme un petit enfant“.

nieraz, rozsiewają popioły, co hen daleko nad brzegiem morza jeszcze miewają temperaturę 200 stopni, zasypują niemi doły, rowy, wąwozy i całe nawet przepaście; a kiedy noc zapadnie, bywa niekiedy w śpiczaku iluminacja taka, że go aż z dalekiej Gwadelupy widać. — Profesor Lacroix, którego, jak wiadomo, po ostatnim większym wybuchu (z 30 sierpnia) na studia tam wysłano i który tu niedawno temu powrócił, opisuje te zjawiska: mówi, że wulkan jest dotąd „w peryodzie czynności“ i że niedobrze się do niego za nadto zbliżać. Powiada też, że zakreślił mieszkańcom w przyzwoitym dystansie od góry wielką linię demarkacyjną i oznajmił kategorycznie, że nie gwarantuje nikomu ani szczęścia, ani zdrowia, ani pomyślności, ktokolwiek się przez tę linię będzie przedzierał; a mieszkańcy tak dobrze tej wskazówki usłuchali, że jest ich obecnie w owym kole, przy wulkanie przeszło 2 tysiące i że tam



gospodarzą jak za dobrych czasów. Żyją sobie nawet dosyć wesoło; nie widują na oczy ani urzędnika, ani żandarma, ani poborcy, ani nikogo, co by im niemiłe strony cywilizacji przypominał i nie wiedzą wcale, co się na świecie dzieje, bo nie odbierają ani miłych ani niemiłych listów; grają w loteryjkę życia i śmierci i dotąd jakoś wygrywają; wygrywają pono nawet nieźle, bo ziemia dokoła wulkanu jest tak urodzajna, że w mgnieniu oka wszystko wydaje i to w bajecznie dobrowym gatunku. Powstaje mały raj około wielkiego piekła a lokatorzy zapominają o groźnym sąsiedzie i tracą tylko wtedy i owedy na chwilę humor, kiedy im sąsiad zahuczy zbyt basową nutą i zanadto przeciągłą. Jak długo ta wygrana potrwa, niewiadomo. Z obserwatorium, które profesor Lacroix zainstalował na przyległym starym wulkanie Morne des Cadets, patrzy tam teraz kapitan artylerii Perney lunetami w krater, pilnuje i notuje i trzyma w pogotowiu czerwoną chorągiew na wypadek wybuchu; ale to są wszystko bardzo anodynowe środki ostrożności, które gotowe od niczego nie ustrzedz ani wesołych lokatorów koła, ani nawet obserwatora samego i jego czerwonej chorągwi. Na nic wszystko, dopóki bogini w kraterze wieżę buduje, a na zbliżających się do wyspy okrętach igła magnetyczna tańczy cakee-walk lub wskazuje północ na zachodzie.

Martynika z paroksyzmu nie wychodzi, ale nie ma na niego bynajmniej monopolu. Od pamiętnej katastrofy w Saint-Pierre było, jak wiadomo, po wielu innych punktach naszego globu niepokojów i wypadków niemało, a jeśli się Europa niemi nie zawsze zaciekawiała, to potrochu może dla tego, że się za daleko od niej wydarzyły i że zanadto błędny wobec tragedji na Martynice. O jednym z nich, dość sobie niezwykłym w swoim rodzaju, przyniósł telegraf już w marcu wiadomość, ale że to okrętem potrzeba tygodni całych, żeby z polinezyjskich wód przywieść list do Europy, więc się bliższych szczegółów dopiero niedawno temu dowiedziano.

Na południu Spokojnego Oceanu porozsiewała natura strasznie dużo drobnych wysp; zaczęła tę sieć od Filipin, rozrzuciła potem hen za Nową Gwineę i Australję pełnemi garściami Karoliny i Landrony, Marszałki i Hebrydy, Fenikse, Fidże i Samoy i skończyła wreszcie tę mleczną drogę na bożej ziemi mniej więcej w połowie oceanu, między Australją a południową Ameryką, siejąc grupę wysp Towarzyskich. Ten daleki i najbliższy prawie z wszystkich archipelag wysp Towarzyskich należy do Francji. Zarządza nim gubernator, zamieszkujący w miasteczku Papeete, na wyspie Taiti i ma tam sporo do zarządzenia, bo owego towarzystwa jest przeszło sto; jeno za te swoje mozoły znajduje też niejedną kompensację we wszystkim, co go otacza; w pejzażach niewymownie malowniczych, w klimacie bardzo ciepłym, ale bardzo miłym, bo nieustannie łagodnym powiewami z oceanu, w ludziach nawet samych, bo urodą słyną i sympatycznymi obyczajami

i potrochu też pono rozpustą. Taiti to prawdziwy raj na ziemi. Sutemi bukietami strzelają tam z bogatej ziemi kokosowe palmy, stuletnie mangowe drzewa oceniają fantastyczne szafasy krajowców przy drogach, po pniach kauczuków i bananów rozwieszają się girlandami najpyszniejsze liany, kraj cały płynie zielenią, bieli się tu i owdzie plantacjami bawełny lub płonie ogniami zwrotnikowych kwiatów; a po brzegach błyszczą perłowe muszle, a pod powierzchnią wody czerwienią się koralowe pola, a dokoła nich pluskają się w słońcu nieuniknione i nieprzeliczone — rekiny.

Wyspy Towarzyskie, to stado prześlicznych kęp na toniach Spokojnego Oceanu. Największa między niemi grupa zwie się u krajowców i u geografów Tuamotu, a marynarze zowią ją archipelagiem niebezpiecznym, bo tyle tam jest skał podwodnych, że niektóre wysepki są prawie zupełnie niedostępne, a na domiar niebezpieczeństwa miewa też jeszcze w tych stronach Ocean Spokojny tak niespokojne chwile, żeby go się można zapytać, skąd właściwie swą nazwę wziął, albo czy reguluje swój humor podług humoru wulkanów na Antylach.

Ozternastego marca od rana toczył w sam środek archipelagu bardzo groźne fale, przed południem zaczął się rozlewać na wyspę Hikuerę a w południe wszedł na pięć wysp, zalał je zupełnie, huczał po nich blisko pół godziny i potem znowu się cofnął. Na Hikuerze zginęło przy tej sposobności czterysta ludzi, a ile na innych dotąd nie wiadomo. Uratowali się tylko ci, co zawczasu powychodzili na bardzo silne kokosowe palmy, inni nie wierzyli do ostatniej chwili, żeby fala aż na wyspę miała wejść i poginęli przy pierwszym rozlewie w mgnieniu oka; a inni jeszcze poprzywiązywali liny do drzew i wytrzymali tę walkę z oceanem przez kilka minut, ale że za wielu ich przy linach było i że się liny wyprężyły zamiast wolno bujać, więc ich woda nie unosiła, jeno zalewała na miejscu; po każdej nowej fali zmniejszały się grona przy linach, aż wreszcie nikt nie pozostał.

O polinezyjskich wyspach rzadko w świecie słychać, będzie je kiedyś Europa wiele lepiej znała, skoro Panamę otworzą, bo na nich, a nie gdzie indziej będzie główna stacja dla okrętów idących z Ameryki do Indji; a żeby tymczasem o nich nie zapomniano, ani o ich nieprzeliczonych sąsiadach, dba widać Ocean Spokojny należycie.

W tym samym miesiącu marca i w tym samym dniu prawie wyparł tam w porcie Apia na wyspach Samoa niemcom i amerykańcom (poważnionym wówczas z sobą) taki bal, że będą sobie o nim jeszcze całe pokolenia marynarzy jako wyjątkowym wypadku opowiadały.

Port w Apii jest trójkątny i bardzo mały; otwiera się wprawdzie na morze bokiemi sześciuset metrów, ale że wszystkie trzy jego kąty są zawałone koralowemi skałami, więc pozostaje tylko w środku bardzo mało głębokiej wody dla wielkich okrętów. Kompetycje o wyspy Samoa za-



gnały Niemców i Amerykanów w tę ciasnotę; czuli wprawdzie i jedni i drudzy, że sąsiedztwo w tych warunkach grozi w danym razie straszną katastrofą, ale że honor nie pozwalał przecie ustępować rywalowi, więc się ani jeden ani drugi nie chciał z portu wynosić. I tak się oto z łaski źle zrozumianego honoru zebrała cała mała flota na miejscu, wystarczającą zaledwie dla dwóch lub trzech wojennych okrętów; stanęły obok siebie trzy pancerniki amerykańskie (Nipsic, Vandalia, i Trenton), trzy niemieckie (Adler, Eber i Olga), przyłączył się do nich jeszcze przybyły tam przypadkiem angielski okręt wojenny (Calliope) a resztę wolnych miejsc pozabierały statki kupieckie, barki i łodzie. Pozarzucono kotwice i wyczekiwano wypadków od strony lądu, gdzie się wówczas Mataafa rozbijał; a z pokładu do pokładu patrzano na siebie z nienawiścią i każdy stał przy nabitych działach oczekując rozkazu.

Że ocean wszystkich niebawem pogodzi, o tem nie marzono. Piętnastego marca (1889), o 2 po południu, spadł barometr nagle na 30. Woda w porcie poczęła się burzyć a statki nieźle na niej tańczyć, ale że pogoda wciąż trwała, więc doczekano nocy bez zbytnej trwogi i nie bez nadziei, że się wszystko przed świtem uspokoi. O północy nagle się sytuacja pogorszyła; horyzont się zażarzył krwawymi ogniami i w te tropy też zawył od oceanu anonosowany przez barometr cyklon, niosąc

i pędząc do mizernego portu niebotyczne, rozwścieklone fale; w mgnieniu oka prawie nastąpiła scena w guście tej, którą to Edgar Poe tak demonicznie opisuje w swym „Manuskrypcie znalezionym w butelce“; wszystkie załogi były na nogach, ale cyklon o załogi nie pytał. Zanim ranek zawiątał, z mniejszych statków nie się nie zostało. O 6-tej Eber rozgruchotany o skałę poszedł do dna z ośmdziesięciu ludźmi, o 7 Nipsic był potłuczony dość szczęśliwie na brzegu, a o 8 zdarzył się wypadek niesłychany i jedyny zapewne w dziejach marynarki wojennej: szalona, cyklonowa fala porwała pancernik „Adler“, rzuciła go jak orzech w powietrze i roztrzaskała nie na brzegu, ale wysoko na nadbrzeżnej skale; ludzie w nim pogłuchli, powaryowali, lub potracili życie. I tak potem w ciągu dnia ginęła reszta. Trenton wpadł na pokład Vandalii i rozbił się razem z nią i z Olgą na koralach i z całej tej pysznej floty ocalała tylko jedna, najbliższa otwartego morza Calliope. Kapitan Kane, widząc, że sterować i bronić się od skał niepodobna, kazał rozpaść maszyny do białości, puścić okręt wolno i walczyć przeciw fali; ujechał tym sposobem z nadludzkim wysiłkiem we dwie długie godziny 800 metrów, ale wyszedł szczęśliwie na otwarte morze i ocalał. Port w Apii przedstawiał nazajutrz nie widok portu, ale scenę śmierci i zniszczenia, jakiej dotąd zapewne w dziejach żeglugi nie widziano.



## NASZE PTAKI WĘDROWNE.

Ruch nad wodami i błotami wzmacnia się jeszcze przez to, iż w tym właśnie miesiącu przeciągają przez nasz kraj olbrzymie rzesze ptaków, dążących na łęg do krajów północnych, zarówno z takich gatunków, które i do nas przylatują w kwietniu, jak i z takich, które u nas skończyły już przyloty w marcu (kaczki, gęci, perkozy itp.), a obecnie pourządzały gniazda i siedzą na jajach albo przynajmniej zabierają się do wysiadywania.

Toteż w tym czasie błotniak stawowy (*Circus rufus*), dzienny, ptak drapieżny, a wielki amator jaj wszelakich, jak również ptaków, siedzących na jajach. Włóczy się on bezustanku po błotach, porzywa samice z gniazd, a przynajmniej spędza je i połyka jaja albo je rozbija i wypija, jeśli są za duże do połknięcia. Nic dziwnego, że nie przylatuje on do nas w marcu, bo nie miałby jeszcze wówczas takiej obfitości tych przysmaków, jak teraz.

Ptak ten zrzadza ogromne szkody w ptactwie wodnym i błotnym, ale niestety, nie tylko on winien być zaliczony do takich szkodników wiosennych i dorównywa mu pod tym względem niejednemu dwunożny, chociaż nieskrzydlaty myśliwy, który, uzbrojony się w fuzję, wybiera również ten właśnie czas na łowy. Polski wyraz „myśliwy“ pochodzi podobno od „myśleć“ to jest polować z rozmysłem, z zastanowieniem, ze zwracaniem uwagi na to, czy to jest czas właściwy na łowy, z oszczędzaniem zwierzyny tak, aby jej nie wytopić doszczętnie. Ci więc, którzy polują teraz, nie zasługują na nazwę „myśliwych“, bo robią to bezmyślnie, tępią ptaki, które jeszcze nie założyły gniazd, zamiast doczekać się znacznie odpowiedniejszej pory — przelotów jesiennych, kiedy z północy nadciągną rzesze ptaków, już odchowanych, a stokrotnie liczniejsze od tych, które można widzieć u nas na wiosnę.



Maj zamyka sobą wiosnę: okrywa on ostateczne lasy i ogrody liściem, osłania zielenością resztki czarnej ziemi na rolach, rozrzuca coraz hojniej kwiaty i motyle na łąkach, wydobywa z jaj oraz poczwerek coraz to nowe i coraz liczniejsze owady, a z południa sprowadza ostatnie rzesze najdelikatniejszych ptaków, dla których kwiecień nie był jeszcze zupełnie odpowiedni do przylotu.

Zjawia się więc w maju reszta jaskółek, które nie zdążyły wrócić w kwietniu, a jeszcze liczniej ciągną okazy, dążące na północ, gdzie zaledwie teraz mogą się one ukazać, jako zwiastunki ich ciagi koło 15 maja, zjawiają się u nas jersyki (*Cypselus*), krewniaki bliskie jaskółek, podobne do nich z obyczajów, ale jeszcze bardziej zależne od ciepła i słońca, bo później przylatują, a wcześniej opuszczają naszą ziemię. Wogóle należą do ptaków, najkrócej bawiących u nas.

Na polach od początku maja, a czasami już w końcu kwietnia rozlega się przyjemne a powszechnie znane pit-pit-pit przepiórek; trawy i zboża są już dość wysokie i można w nich niezgorzej ukryć gniazdko. Z łąk, porośniętych gęstą trawą, a także z pól, zarosniętych bujniejszym zbożem, dochodzi mocny i monotonny głos chróściela, zwanego także derkaczem, dla dźwięku der-der, który wciąż słychać w jego odzywaniu się. Przylatuje on w pierwszych dniach maja, czasami dopiero 10-go. W gąszczach leśnych i ogrodowych kuka donośnie kukulka, która przylatuje często już w ostatnich dniach kwietnia, niemniej często jednak opóźnia się do początku maja; pokarm jej stanowią duże włochate gąsienice, żerujące na drzewach, a że w początkach wiosny nie znalazłaby ich ona wcale, w każdym zaś razie niewiele, nie ma więc poco spieszyć się zbytnio. W tym samym mniej więcej czasie, nieco wcześniej albo nieco później, bo niekiedy dopiero 10, a nawet 15 maja przylatują turkawki, trzeci z naszych gołębi, najpospolitszy i najliczniejszy, znany powszechnie z turkającego głosu, któremu zawdzięcza nazwę. W maju również zaczyna śpiewać słowik, który należy także do najpóźniej przylatujących ptaków, gdyż w najlepszym razie zjawia się u nas w końcu kwietnia.

Maj sprowadza do nas dwa piękne, barwne ptaki, należące do najodborniejszych i najjaskrawszych u nas, mianowicie seledynowo-błękitną kraszkę z kasztanowatym grzbietem i złocisto-żółtą wilgę. Kraszka zaczyna do nas przylatywać w

końcu kwietnia, a kończy przyloty przed połową maja; wilga zjawia się w pierwszej połowie maja.

Przyczynę tak późnego ukazania się obu tych ptaków można widzieć zarówno w ich jaskrawem, rzucającem się w oczy upierzeniu, które wymaga dobrego osłonięcia drzew liśćmi, aby ptak był zupełnie bezpieczny, jak i w rodzaju pokarmu, który stanowią głównie duże chrząszcze i wielkie gąsienice, a tych większa obfitość znajduje się dopiero w maju. Termin przylotów wilgi można nawet określić ogólnikowo, że przypada on wtedy, gdy lasy zazielenia się zupełnie, a więc jednocześnie dają jej i ochronę lepszą i większą obfitość dużych gąsienic.

W maju również nadciągają do nas różne gatunki dzierzb (*Laniidae*). Jedną z nich, największą, zwaną srokoszem, nie opuszcza nas nigdy, karmi się bowiem głównie drobnymi ptakami i myszami, owady zaś je tylko w lecie, nie grozi więc jej brak pokarmu w zimie. Ale trzy inne (dzierzba czarnoczelna, rudogłowa i gąsiorek) jadają przeważnie większe owady, a obok nich jaja ptasie, oraz pisklęta; pokarmu zaś takiego nie dość, że w zimie nie ma, ale jeszcze na wiosnę trzeba nań czekać długo, zanim drobne ptaki leśne poznoszą jaja, zanim młode z nich się wylęgą i zanim w większej liczbie zjawiają się duże owady. To też i dzierzby przylatują późno, między 6 a 12 maja, czasami jeszcze później, mniej więcej w tym czasie, gdy zaczynają się ukazywać chrabąszcze w większej ilości.

Tą samą przyczyną możnaby wytłómaczyć późne przyloty drobnych sokołów, a mianowicie kobuzów i kobczyków. Polują one wprawdzie na mniejsze ptaki, jak skowronki, przepiórki, drozdy i inne, łowią nawet jaskółki w locie, najchętniej jednak uganiają się za większymi owadami, jak chrabąszcze i ważki. Sokoliki te przylatują do nas najpóźniej ze wszystkich ptaków, w końcu maja, a czasami nawet dopiero w pierwszych dniach czerwca przyczem kobuz gnieździ się u nas mądrze, a kobczyk spotyka się wyłącznie w południowo-wschodnich częściach kraju: na Ukrainie i Wołyniu, rzadko tylko i wyjątkowo spędza on lato w guberji lubelskiej.

Koniec maja jest zarazem końcem ciągów wiosennych. Celem ich jest założenie gniazd i wychowanie młodych, — a lato nasze nie trwa zbyt długo i ptaki, któreby przyleciały dopiero w czerwcu, nie miałyby już dostatecznych widoków na pomyślne odchowanie młodych.

(C. d. n.)

